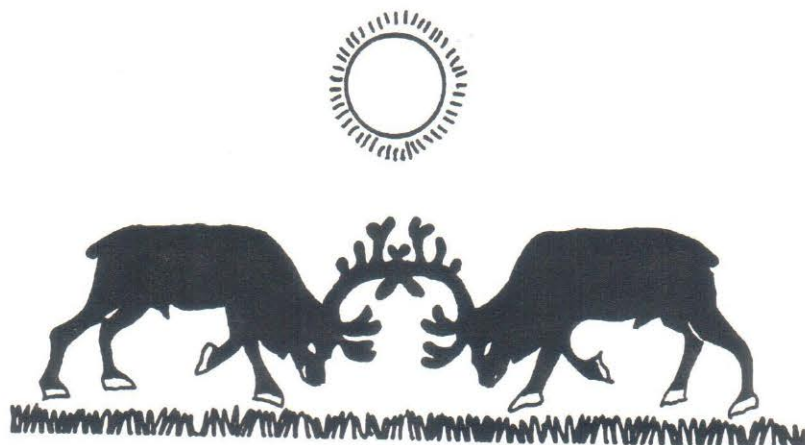




W I E L K A W Ę D R Ó W K A R E N I F E R Ó W

Obecna bogata i ciekawa wystawa "Tundra i Tajga" w Muzeum Cywilizacji skłania nas do opowiedzenia Czytelnikom mało znanego epizodu z historii Kanady, który miał miejsce pół wieku temu. Dotyczył on właśnie mieszkańców tundry, t.j. Eskimosów śródlądowych, koczujących po niezmiernych obszarach kanadyjskiej Północy. W odróżnieniu od ich pobratymców, bytujących na wybrzeżu, i mających względnie stałe źródło zaopatrzenia w mięso i tłuszcz z fok, morsów itd, Eskimosi śródlądowi polegają prawie wyłącznie na caribou. Otóż wędrowne stada caribou, które jeszcze na początku naszego stulecia oceniano na 2½ miliona głów, zaczęły się gwałtownie zmniejszać. Przyczyniło się do tego rozpowszechnienie się broni palnej i bezwzględność ludzka w jej użyciu, niemożliwa do ukrócenia na tych ogromnie rozległych i prawie bezludnych terytoriach. Dziś pozostało ich może 200-300 tysięcy. Gdy dodać do tego trudne do przewidzenia zachowanie tych zwierząt, które zmieniają swoje doroczne wędrowki w sposób przypadkowy - koczownicy tundry stanęli w obliczu zagrożenia ich bytu. Widmo głodu zaczęło coraz częściej zaglądać do ich igloo.

Widząc to, rząd federalny zdecydował się podjąć akcję, mającą na celu pomoc tym plemionom. W 1919r. utworzona została w tym celu t.zw. Królewska Komisja. Raczej niż narzucać im zmianę ich przyzwyczajęń przez dostarczanie im żywności białego człowieka, zdecydowano pójść po linii bardziej naturalnej. Eskimosom potrzeba mięsa? i to mięsa caribou? A gdyby go im dostarczyć?

Tutaj potrzebna jest mała dygresja. Wokoło kuli ziemskiej, w pasie arktycznym, istnieje pewien gatunek zwierząt, należący do rodziny jeleńiowatych. Na kontynencie eurazjatyckim nazywamy go reniferem, na amerykańskim, zapożyczając nazwę od Indian Algonquin, przezwano go caribou. Łacińska nazwa jest im wspólna: Rangifer tarandus, jest to to samo zwie-

rzę, jednak odmiana europejsko-syberyjska uległa w ciągu wieków stopniowemu oswojeniu przez człowieka. Renifery pozostają w stanie pół-wolnym, łączą się w stada, ale Laponczycy w Skandynawii i Samojedzi na Syberii posiadają władzę nad nimi. Nauczyli niektóre z nich pracować jako zwierzęta pociągowe; korzystają z ich mleka, mięsa i skór; nawet jeżdżą na nich konno. Bogactwo Laponczyka wyraża się ilością posiadanych reniferów; nieraz są to stada liczące tysiące sztuk.

W przeciwieństwie do tego, caribou nigdy nie zostały oswojone. Ich ojczyzną jest północ Kanady łącznie z wyspami archipelagu arktycznego. Dzielią się one na dwie odmiany: mniej liczne caribou leśne i te żyjące na tundrze.

Stosownie do zaleceń Komisji Królewskiej, rząd kanadyjski zaprosił specjalistów z Norwegii dla przestudiowania możliwości sprowadzenia pewnej ilości reniferów i osiedlenia ich, w sposób kontrolowany, na północnej tundrze. Zaproszeni rzeczoznawcy zwiedzili północne wybrzeże, i jako najlepsze siedlisko wybrali tereny leżące między deltą rzeki Mackenzie i rzeką Coppermine. Przypuścić można że motywem decyzji była obfitość mchu reniferowego, stanowiącego główne ich pożywienie. Mech ten, znany nam z Polski pod nazwą "chrobotek reniferowy" i często spotykany i tu w lasach gdzie jeździmy na grzyby, rosnący na ubogiej piaszczystej glebie, szary i chrupiący pod stopą, jest przysmakiem caribou i renifera.

Decyzja Ottawy zapadła: sprowadzamy renifery dla Eskimosów. W 1929r. stado ich liczące 2890 sztuk wylądowało ze statków w okolicy Buckland Bay na Alasce. Cekał ich marsz na wschód blisko 3000 km, wzdłuż wybrzeża, do przeznaczonego dla nich terenu poza rzeką Mackenzie, na północ od Wielkiego Jeziora Niedźwiedziego. Marsz ten mógł tylko być możliwy w zimie, gdy rzeki i bagna zamarzają. Ekipa prowadząca to ogromne stado składała się częściowo z Laponczyków, znających na wylot zwyczaje i potrzeby, powiedziałoby się: mentalność reniferów. Druga połowa ekipy byli to Eskimosi, którzy od niepamiętnych czasów przywykli żyć w kanadyjskiej Arktyce, którzy umieli z łątwością zbudować sobie igloo ze śniegu i używali sanek zaprzężonych w psy. Całością ekipy i wogóle całym przedsięwzięciem rządził Andrew Bahr, Laponczyk, o wielkim doświadczeniu i o niekwestionowanym autorytecie. Eskimosów włączono do tej operacji z zamiarem przeszkolenia ich w obchodzeniu się z pół-oswojonymi reniferami, z myślą o przyszłości. Do szkolenia należało także użycie nart, nieznanych Eskimosom. Ekspedycja była doskonale wyposażona przez rząd kanadyjski w żywność, narzędzia, broń i wszelki sprzęt. Brało w niej udział ośmiu Laponczyków i dziesięciu Eskimosów; niektórzy mieli ze sobą żony i dzieci.

Przez lato trwało cierpliwe przygotowywanie i przyzwyczajanie pół-oswojonych zwierząt do ich nowych opiekunów. Wybrane renifery musiały przywyknąć do prowadzenia stada, do ciągnięcia czy noszenia ładunku, do obecności psów lapońskich które pomagały pasterzom. Również i dwa zespoły ludzi, choć każdy trzymał się osobno, musiały się zapoznać i zgrać ze sobą. Gdy wreszcie nadeszła zima i śnieg pokrył ziemię, ekspedycja wyruszyła w drogę. Było to przed Bożym Narodzeniem 1929r. Instrukcje rządu nakazywały aby szlak wędrówki prowadził jak najbliżej wybrzeża. To wszystko. Nawet rząd nie znał tej drogi. Wytrwałość i poczucie obowiązku Laponczyków miały przezwyciężyć wszelkie trudności i przeszkody. Na Eskimosów trudniej było liczyć z pewnością.

Ekspedycja wpadła w rytm marszu i odpoczynku, zależny od terenu, wstrzymywany nieraz przez wypadki z saniami lub przez niesforne zacho-

wanie się części reniferów. Trzeba było wytrzymałości i ogromnej cierpliwości Lapończyków aby te przeszkody pokonać. Na noc Eskimosi budowali swoje igloo, Europejczycy stawiali namioty, gotowano strawę, odpoczywano. Jednak z żelazną dyscypliną renifery były strzeżone przez całą noc przez jednego z ludzi który z psem obchodził stado, pilnując je od rozproszenia się i od możliwych niebezpieczeństw. Renifery żywiły się po drodze, grzebiąc racicami śnieg aby dostać się do mchu.

Pewnego razu zbliżyli się do wielkiej płaskiej przestrzeni która najwidoczniej była zamrożonym ujściem rzeki, lub zatoką morską pokrytą śniegiem. Renifery były dziwnie nerwowe i niechętnie wchodziły na lód. Rozłożono obóz na skalistej wyspie pośrodku tej lodowej płaszczyzny. Atmosfera była czegoś napięta. Stary Eskimos mruczał coś o duchach z morza i z gór, które tu mogą stoczyć bitwę. W nocy zerwał się wiatr o huraganowej sile. Namioty musiały być ubezpieczone dodatkowo; wichura wrywała śnieg z bloków igloo. Była to straszna noc. Gdy się rozjaśniło, okazało się że cały śnieg został wymieciony z lodowej powierzchni, pozostawiając lustrzaną tafłę. Zwierzęta nie mogły się po tem posuwać; racice ich się ślizgały, rozjeżdżały, szereg z nich połamało nogi i musiały być dobite. Wyprawa była unieruchomiona. W dodatku, jak zwykle po wichurze, nastała cisza i trzaskający mróz. Powierzchnia lodowa głucho stękała i pękała z hałasem podobnym do wystrzałów z działa.

Nie było innej rady jak zrobić dla zwierząt drogę po tej lustrzanej gładzi, nacinając siekierami ścieżkę z wyspy do najbliższego lądu. Eskimosi i Lapończycy pracowali wspólnie dzień i noc, pracowali ponad siły, jak automaty. Renifery nie miały dość pożywienia na skalistej wyspie i traciły powoli siły z zimna i głodu. Wkońcu, po tysiącnych wysiłkach, przeprowadzono je po szorstkiej lodowej ścieżce do stałego lądu.

Potrzeba było parę tygodni wypoczynku aby wygłodzone i osłabione zwierzęta odkarmiły się i wróciły do sił. Ekspedycja miała wkrótce wyruszyć w dalszą drogę. Pewnego dnia jeden z Lapończyków imieniem Mikel usłyszał zdaleka strzały ze strony stada reniferów. Mimo południa na dworze był arktyczny półmrok. Strzały oznaczały coś niezwykłego; nie była to pora na atak wilków ani rosomaka. Służba patrolowa należała tego dnia do jednego z Eskimosów. Mikel wziął broń i poszedł sprawdzić sytuację. Rzadkie strzały padały nadal. Eskimosa nie było widać. Natomiast obok wielkiego głazu na tundrze widać było dwie dziwne postacie; niskie i krępe, o niebywale prymitywnym wyglądzie. Uzbrojeni byli w starożytne skałkowe karabiny. Jeden z nich strzelił znowu - i następny renifer padł na śnieg. Mikel oddał kilka szybkich strzałów ostrzegawczych i odprowadził steroryzowanych ludzi do obozu. Dopiero staremu Eskimosowi udało się dogadać z przybyszami. Byli oni z plemienia koczowników z tundry, zagubionego zdala od kontaktu z innymi. Nawet język ich był niebywale prymitywny, podobniejszy do warczenia psa niż do ludzkiej mowy. Caribou na które liczyli poszły inną drogą i w ich obozie był głód; ci dwaj poszli szukać zwierzyny. Niespodziewanie znaleźli ogromne stado prowadzonych reniferów, i zwyczajem tych plemion, nie znających umiaru ani planowania, rozpoczęli bezcelową masakrę. Szef wyprawy pozwolił im dołączyć się do ekspedycji; pozostali jednak osobno od innych, jak pół-dzikie prymitywne stwory.

Zwolna dnia się wydłużały aż pewnego ranka z za wzgórz pokazał się na chwilę zdawna nie widziany rąbek tarczy słonecznej. Ogromna radość i podniecenie opanowały ludzi. Znow widzimy słońce! idziemy do lata.

Wkrótce śnieg zaczął topnieć, dalsza podróż stała się niemożliwa i ekspedycja rozłożyła się obozem na lato dla wypoczynku, naprawy ekwipunku i przygotowania zapasów wędzonego mięsa na dalszą drogę. Gęsi leciały z południa i wkrótce rozpoczęła się plaga owadów. Mimo to lato było dobrym okresem. Hojna pomoc rządu kanadyjskiego była co jakiś czas dostarczana samolotami.

Z nastaniem zimy ruszono w dalszą drogę. Dalej toczyły się dni, noce, wypadki, niebezpieczeństwa, niewiarygodny ich łańcuch, gdzie siła woli i wierność dla obowiązku Lapończyków pokonać musiały wszystkie przeszkody. Trudy i niebezpieczeństwa tej wyprawy - a trwała ona 5 lat - nasuwają porównania z długą kampanią wojenną. W jakąś zimową noc, błędzące stado dzikich caribou dołączyło się do reniferów, wprowadzając zamieszanie i dezorganizację. Zagrał wspólny obu wrodzony instynkt migracji i część reniferów poszła za caribou w drogę na południe. Tylko z największym wysiłkiem pewną ich ilość przyprowadzono z powrotem. Kiedy indziej wilki napadły w nocy na stado z dwóch stron jednocześnie, powodując ogólną panikę. To znów napotkano grupę igloo - igloo o zamkniętym wejściu, którego zwyczaj zabraniał otwierać. Były tam umierające lub zmarłe już z głodu rodziny Eskimosów. Zimowe przejście z tysięcznym stadem przez północny odcinek Gór Skalistych które przegradzały im drogę było dalszą próbą stawiającą ludziom największe wymagania.

Wreszcie doszli do delty Wielkiej Rzeki (Mackenzie River ma 4600 km długości), spędzili przed jej przejściem ostatnie lato. Gdy nadeszła zima - piąta zima Wielkiej Wędrowki - gdy lód zaczął trzaskać i strzelać w kleszczach mrozu i Światła Północne rozsnuwały swoje desenie po niebie, ekspedycja wyruszyła w ostatni odcinek swej podróży. U jej celu oczekiwało ich nowe osiedle, zbudowane przez rząd Kanady dwa lata przedtem. Rozpakowali się. Nadchodziła Wielkanoc 1935 roku.

KRONIKARZ

P.S. Aby powiązać powyższą historię z dniem dzisiejszym, zwróciliśmy się listownie do p.Douglas Heard, szefa służby ochrony zwierzyny dla Terytoriów Północno-Zachodnich w Yellowknife. Poprosiliśmy o informację co dalej stało się z tym stadem reniferów, czy istotnie Eskimosi z tundry mieli z nich korzyść; i czy coś z tego do dziś pozostało. Jak dotąd list nasz pozostał bez odpowiedzi.



P O M O C D L A P O L S K I

Nawiązując do sprawozdania z ubiegłego numeru "N.W.", podajemy dalsze informacje dotyczące akcji pomocy.

Zarząd Stowarzyszenia powierzył odpowiedzialność za organizację i za gospodarowanie zebranymi ze składek pieniędzmi p.p.Stanisławowi Czer nicowi i Józefowi Bispingowi. Przedstawiamy obecny stan tych spraw.

Całość pieniędzy zebranych wyniosła 2298.14\$. Włączona w to suma 440\$, uzyskana przez panią Annę Kokińską na terenie szpitala St.Sacrem ent, będzie skierowana, zgodnie z życzeniem władz tego szpitala, na potrzeby chorych dzieci w Polsce. Napisałismy do ks.mgra Stefana Dudy w Gdańsku, kierującego rozdziałem darów, prosząc o wskazówki gdzie i

jaką drogą tę sumę przesłać. Prosimy w tym liście o wiadomość na jaki dokładnie cel pieniądze te będą skierowane.

Pozostała suma 1858.14\$ będzie użyta w dwojaki sposób. Większość jej, w wysokości 1500\$ złożona zostaje w Banque Royale jako początek stałego funduszu pomocy. Lokata tych pieniędzy w bonach bankowych ("certificats de placement garanti") przynosi 10 3/4% rocznie. Jedynie odsetki od tej sumy będą pokrywać pomoc wysyłaną do Polski. Ufamy że uda się nam znów w tym roku przeprowadzić zbiórkę i przez to powiększyć nasz stały fundusz.

Pozostałe pieniądze t.j. 358.14\$ zostają złożone na odrębnym koncie oszczędnościowym w tymże banku; one mają służyć do natychmiastowego uruchomienia pomocy. Gdy chodzi o wybór kandydatów, to czekamy obecnie na potwierdzenie z Polski następującego projektu. Jednym z odbiorców byłaby rodzina wielodzietna z rejonu podwarszawskiego, mająca 11-ro dzieci. Mamy zapewnienie że niema tam problemu alkoholizmu. Drugą odbiorczynią byłaby starsza kobieta, emerytka, żyjąca w skrajnej biedzie, mająca wysokie poczucie społeczne i zawsze czynna dla pomóżenia innym.

W ten sposób wypełniamy hasło naszej akcji zbiórkowej: pomagamy dzieciom i ludziom starszym w potrzebie. Przewidujemy utrzymanie tej pomocy w ograniczonej wysokości, ale w sposób stały. Każdy z odbiorców dostawać będzie 10\$U.S. miesięcznie, wysyłanych w formie bonów PKO.

Od centrali PKO w Toronto ("PEKAO TRADING CO.LTD.") uzyskaliśmy, w odpowiedzi na nasz list, obietnicę że "w przypadku proponowanych "regularnych" przesyłek pomocy dla potrzebujących rodaków w formie "bonów", skłonni jesteśmy zrezygnować z opłat manipulacyjnych. A więc, tym lepiej. Bony są łatwe do odprzedania.

Pomoc ta powinna ruszyć w krótkim czasie. Będziemy Was nadal informować.

Stanisław Czerniec
Józef Bisping



G W I A Z D K A 1 9 8 8

Osiemnastego grudnia 1988 odbyła się Gwiazdka Stowarzyszenia Polaków w sali parafialnej St.Sacrement. Po Mszy św. odprawionej przez ks. Izzydora Sadowskiego w kaplicy, wszyscy uczestnicy i ich goście udali się na salę pięknie udekorowaną na tę okazję przez Kitty, Janka i Terese Rościszewskich, Urszulę Krzemień i panie Jolantę i Anię Mikulskich.

Już od kilku tygodni pani Krystyna Frydecka zbierała dzieci aby przygotować Jasełka. W tym roku w roli Heroda wystąpił Pawełek Pietruchlewicz, Śmiercią był Tomek Skiba, Diabłem - Maciek Chmielewski, Królową - Basia Węgrzycka, Matką Boską - Ania Rycabel. Jacek Stramski dzielnie stanął jako żołnierz, zaś Maciek Mizerski, Arek i Anita Bruder przedstawiali Trzech Króli. Aniołkami były Kasia Boguszevska z Marysią i Chrystelle Bawolak i Julia Wójcik. Honorata Bittner i Karolinka Chmielewska dały sygnał początku i końca przedstawienia zabawnymi wierszykami. Oprócz tego Honorata i Maciek Mizerski ładnie zagrali kolędy na flecie.

Chociaż te sceny są dobrze nam znane, każde przedstawienie przez

młodych aktorów zawiera coś nowego, ciepłego, uciesznego albo wzruszającego dla starszych odbiorców. Mamy z nich pamiątkę przez zdjęcia zrobione przez Janka Rościszewskiego.

Po przedstawieniu i kolędach śpiewanych, na zaproszenie pana Węgrzyckiego, przez całą salę, poproszono Świętego Mikołaja. Istotnie zjawiał się po chwili z wielkim workiem i był natychmiast obłożony przez dzieci. Podarunki owszem, ale też osobowość hojnego gościa przyciągały nawet te zawstydzone. Nie zapomniał nikogo, nawet ksiądz Sadowski otrzymał prezent.

Na koniec ksiądz pobłogosławił posiłek przygotowany przez tyle ofiar-nych rąk, i, przy życzeniach "Wesołych Świąt", przeróżne przysmaki, od kapusty z grzybami do quebeckich "beignes" znikły prawie że bez śladu. Ekipa porządków postarała się aby zostawić czystą salę gospodarzom parafii.

Do organizowania Gwiazdki przyczyniło się wiele osób, którym serdecznie dziękuję, m.in. panie Barbara Bittner, Michalina Śliwińska, Jadwiga Węgrzycka, Anna Kokińska, panowie Maciej Śliwiński, Józef Mikulski, Wiesław Węgrzycki, Tadeusz Frączek, wszystkie dzieci i ich rodzice, i napewno inni których nazwiska wymknęły mi się z sita pamięci. Udział wszystkich był niemniej cenny. Dzięki współpracy całej naszej grupy, młodych i starszych, mogliśmy uroczystie rozpocząć okres świąteczny.

Barbara Friedberg



W I A D O M O Ś C I Z P O L S K I

Debata telewizyjna Wałęsa-Miodowicz z 30-go listopada stała się początkiem nowej ery w kontaktach pomiędzy władzami a Solidarnością. W dwa dni po niej, Jerzy Urban stwierdził że Lech Wałęsa bardzo się zmienił; że przestał być elementem destrukcyjnym i anty-socjalistycznym; i że aktualnie dialog z nim, z tym "nowym" Wałęsą, stał się możliwy. Wkrótce po tym, w wywiadzie udzielonym paryskiemu "Le Monde" z 9 grudnia, przewodniczący Solidarności oświadczył że nadal mu trudno uwierzyć że debata naprawdę miała miejsce, bez cenzury. Wałęsa dodał: "Dziękuję temu kto podjął tę decyzję. To był ktoś odważny."

W dalszym ciągu określił debatę i jej skutki jako konstruktywne i być może prowadzące do przyspieszenia na drodze do zwycięstwa. "Ale" - dodał - "trzeba wyraźnie powiedzieć: to zwycięstwo nie oznacza podboju, ani partii komunistycznej, ani rządu; chodzi o inny podział struktur. Dążenie do przejęcia władzy byłoby z naszej strony największym błędem. To jest nam zabronione: władze są nam konieczne dla przeprowadzenia reform. My tych władz nie kochamy, my im wiele mamy za złe; ale one są nam konieczne. Niema jeszcze w Polsce ludzi zorganizowanych, którzy mogliby poważnie myśleć o rządzeniu. Są jednostki; ale w skali kraju to nie wystarczy. Potrzebny jest długi proces zanim dojdzie do tego, że ten, kto ma najlepszy program, może rządzić krajem."

W niedzielę 18 grudnia, podczas zebrania w którym uczestniczyło 128 osób, członków KKW (dyrekcja Solidarności), oraz innych klubów opozycji, utworzony został Obywatelski Komitet przy Przewodniczącym Solidarności, będący t.zw. "gabinetem cieni". Komitet, który ma się zbierać co trzy miesiące, podzielił się na 15 komisji - "ministerstw", przeznaczonych do zajmowania się poszczególnymi dziedzinami życia społecznego w Polsce. Aby złagodzić wrażenie wyzwania wobec rządu, jakim jest utworzenie tego Komitetu, wielu z "ministrów" w "gabiniecie cieni" stanowią osoby ogólnie szanowane z racji ich kompetencji. Co więcej, szereg z nich, jak profesor ekonomii Witold Trzeciakowski, były rektor Uniwersytetu Warszawskiego Henryk Samsonowicz, czy profesor rolnictwa Andrzej Stelmachowski otrzymali od premiera Rakowskiego zaproszenia do udziału w jego rządzie, na które odpowiedzieli odmownie. Prof. Bronisław Geremek stanął na czele komisji do spraw reform politycznych; Tadeusz Mazowiecki prezyduje w komisji do spraw pluralizmu politycznego, a Andrzej Wajda jest odpowiedzialny za dział kultury.

"Trybuna Ludu" z 19 grudnia opublikowała wiadomość o utworzeniu tego Komitetu i podała nazwiska jego członków. 21 grudnia, podczas plenum Komitetu Centralnego PZPR, Mieczysław Rakowski zaproponował podjęcie dyskusji z opozycją i nazwał Lecha Wałęsę "człowiekiem kompromisu". Gen. Jaruzelski, mówiąc o konieczności reform ekonomicznych, oświadczył m.in. że Polska potrzebuje kompromisu, ugody narodowej. Rakowski stwierdził że w Polsce zauważa się "równoczesny wzrost zaufania do Lecha Wałęsy i do rządu. Te dwie tendencje nie są sprzeczne - one się dopełniają. Wielu Polaków popiera władze i jednocześnie domaga się wskrzeszenia Solidarności, jak też zmian w prawie".

Plenum zatwierdziło dążenie władz do przeprowadzenia reform ekonomicznych. I tak, według nowego prawa które weszło w życie 1-go stycznia, wszystkie zakłady pracy, zatrudniające mniej niż dziesięć tysięcy pracowników, mogą stać się własnością prywatną osób lub organizacji gotowych do ich zakupienia.

W kilka dni po plenum gen. Siwicki ujawnił, stosownie do żądania Wałęsy w czasie debaty telewizyjnej, wielkość budżetu wojskowego PRL. Wojsko kosztuje Polskę 2 miliardy dolarów rocznie, ale w najbliższym czasie suma ta zostanie zredukowana o dziesięć procent.

Następne plenum K.C. PZPR odbyło się 18 stycznia. Miały miejsce dramatyczne dyskusje, w przebiegu których Jaruzelski zagroził swoją dymisją i zażądał głosowania nad votum zaufania dla jego kierownictwa; i głosowanie to wygrał. Uchwalono rezolucję o wprowadzeniu pluralizmu związkowego, pod następującymi warunkami. Nowe związki zobowiążą się do:

1. szanowania konstytucji PRL
2. działania w kierunku rozwoju ekonomicznego i produkcji
3. nie korzystania z innych źródeł finansowych jak te, które są zgodne z prawem i lojalnością wobec państwa (aluzja do subwencji zachodnich dla Solidarności)
4. sprzeciwiania się wszelkim próbom gwałcenia porządku społecznego i podważania bezpieczeństwa kraju (to jest, w praktyce, strajków i opozycji politycznej namawiającej do walki zbrojnej).

W ostatniej chwili dorzucono także warunek:

5. Nowe związki i OPZZ muszą stworzyć wspólną (t.j. jedyną) reprezentację wobec kierownictwa zakładu pracy.

Powyższa rezolucja stanowi tę "deklarację intencji", której żądała

opozycja jako wstępu do otwarcia rokowań z władzami.

Komentarz Lecha Wałęsy:

"Wziąwszy pod uwagę nasze doświadczenie - to jest dużo ze strony partii. Ale to za mało dla nas. Za mało w stosunku do oczekiwań i żądań społeczeństwa. Za dużo żeby umrzeć, ale za mało żeby żyć. Solidarność musi być silna, niezależna i bez ograniczeń."

Jednakże, po zebraniu przywódców Solidarności 22 stycznia, Wałęsa oświadczył że jego organizacja zgadza się na wstępne dyskusje z rządem. Pierwszym ich celem będzie legalizacja Solidarności i pluralizmu związkowego oraz reformy ekonomiczne. Zbigniew Bujak i Władysław Frasyniuk będą prowadzić rozmowy przygotowawcze, zaś "ministrowie" z "gabinetu cieni" zasiądą do właściwych dyskusji "przy okrągłym stole", których początek jest przewidziany na 6-go lutego.

Lech Wałęsa powiedział do tłumów zgromadzonych w kościele, jak i przed kościołem św. Brygidy w Gdańsku, że Solidarność "postanowiła wyciągnąć rękę do ręki podanej przez drugą stronę. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. Przyszłość należy do rozsądku. Ja nie jestem szczególnie optymistyczny, wszystko jeszcze może się zdarzyć. Ale możecie dostrzec szanse, możecie dostrzec nadzieję. A jeżeli to wszystko jest tylko złudzeniem, będziemy kontynuować walkę."

Opracowała: Jagoda Łagowska



U W A G I O O C H O T N I C Z E J

P R A C Y S P O Ł E C Z N E J

Nie mam zamiaru rozprawiać na łamach "N.W." na temat filozoficznego czy psychologicznego podejścia do "bénévolat". Używam tu słowa francuskiego, bo naprawdę nie znajduję w języku polskim określenia, które najlepiej oddałoby ducha tego wyrazu. Tutaj, jest to praca bezpłatna, a więc nie zarobkowa, w najrozmaitszych organizacjach stworzonych w celu niesienia pomocy ludziom, którzy znajdują się w ciężkich warunkach.

Chcę tylko pisać o moich własnych spostrzeżeniach i o wnioskach, które wyciągnęłam z siedmiu lat pracy jako "bénévole".

W pierwszych miesiącach odczuwa się zapał i chęć zrobienia czegoś nadzwyczajnego dla tych którzy potrzebują pomocy. Pozostawia się swoje własne życie i swoje sprawy dla innych. Roztkliwia się nad prawdziwymi, a również i urojonymi nieszczęściami ludzi w potrzebie, nawet nie zauważając że nasi najbliżsi też od nas czegoś oczekują i że nasze "uspołecznienie" może im przeszkadza. Przypuszczam że takie podejście wynika z naiwności i braku wyrobienia społecznego.

W "bénévolat", jak i we wszystkich przedsięwzięciach, trzeba słuchać nie tylko naszych uczuć, ale także i rozumu. Naturalnie, praca społeczna musi być całkowicie bezinteresowna i nie mamy prawa szukać w niej zadowolenia. Jedyną nagrodą dla ludzi którzy zechcą się poświęcić dobroczynności, to uśmiech w oczach tych, którym pomogli. Ale musimy też liczyć się z tym, że ci dla których coś zrobiliśmy, mogą zamiast wdzięczności okazać nam niezadowolenie. Nierzadko też dadzą nam do zrozu-

mienia że pomoc jest niewystarczająca.

Zaczęłam pracować jako "bénévole" w 1981r., gdy Polacy zaczęli przyjeżdżać gromadnie do Québec. Jerzy, mój mąż i oficjalny wówczas tłumacz, potrzebował mojej pomocy, a ja właśnie w tym czasie przestałam pracować. Polecono mi zajęcie się szukaniem mieszkań (w czym często pomagały panie G.Bisping i J.LaSalle), kupowaniem zaopatrzenia domowego i ubieraniem nowoprzybyłych, oraz tłumaczeniem i objaśnianiem im tego wszystkiego, co było dla nich niezrozumiałe w tym nowym otoczeniu.

Pracowałam wtedy z Kanadyjczykiem, imieniem Claude, z Fraternité Canadienne. Ja, poniesiona patriotyzmem, chciałam dawać wszystkim Polakom jaknajwięcej, jaknajlepiej, ale przeznany Claude wstrzymywał mnie w moim zapale, bo wiedział że masa imigrantów jest nieskończona, a wszystkich trzeba jakoś obdzielić. Teraz widzę że miał rację, bo rząd kanadyjski jest zmuszony dzisiaj do ograniczania pomocy.

Jedną z licznych placówek które uzupełniały pomoc dla imigrantów była w tym czasie, i jest zresztą do dzisiaj, Vestiaire St.Vincent de Paul przy kościele St.Sacrement. Zaczęłam tam pracować jako "bénévole" w roku 1983. Kandydaci są tam przyjmowani przez zarząd i otoczenie z otwartymi rękami, serdecznie i zachęcająco. Później zdarzają się jednak nieporozumienia spowodowane różnicami poglądów i stosunkiem do pracy społecznej. Cała mądrość polega na zapomnieniu o sobie i przejściu do porządku dziennego nad drobiazgami. Naturalnie, każde takie nieporozumienie jest ciemną plamą i nie zgadza się z ideałem pracy dla bliźnich.

Przez moje wstąpienie do Vestiaire St.Sacrement chciałam móc lepiej pomagać Polakom, a przytem odwdzińczyć się pani Boivin i parafii St.Sacrement za zajęcie się bardzo wydajne szczególnie przybyszami z Polski. Dla przykładu wymienię tu tylko rodzinę Jerzego Piszczka, marynarza, który po nielegalnym zejściu ze statku wraz z żoną i siedmioletnim synem nie mógł liczyć na absolutnie żadną pomoc rządową. Dzięki działalności Vestiaire dostał on mieszkanie, meble i wyżywienie przez trzy miesiące, aż do czasu kiedy rząd prowincji Québec zaczął dawać im zapomogę. Wspomnę nawiasem, że Piszczkowie w bardzo krótkim czasie zwrócili Stowarzyszeniu St.Vincent pieniądze za mieszkanie, mimo że on miał tylko pracę dorywczą przez cały czas pobytu w Québec.

Praca w Vestiaire to wybieranie, przygotowywanie i konserwacja ubrań (w moim wypadku - płaszczy), a potem oddawanie ich do rąk ludzi którzy tam przychodzą. Nie jest to w żadnym wypadku praca przyjemna, nie daje żadnej satysfakcji dla intelektu i zabiera mi dwa popołudnia w tygodniu. Nauczyłam się już jednak, i to mi wystarcza, że w zamian szukania tego co przyjemne i zajmujące w pracy społecznej, zadawałam się ukrytą we mnie chęcią zrobienia poprostu czegoś dobrego. Każdą część ubrania trzeba podać z uśmiechem i tak, aby ten który dostaje cokolwiek, był przekonany że dla mnie najważniejszą rzeczą jest dogodzić mu w miarę możliwości. Nie chcę sobie urabiać opinii bohaterki, ale praca społeczna ma tylko wtedy sens, kiedy zapominamy o sobie wobec człowieka któremu potrzeba pomocy.

Kiedy w Vestiaire zaczęło być mniej pracy, przyjęłam propozycję pracy w szpitalu na oddziale dla przewlekłych i nieuleczalnych chorób. Ludzie leżący tam są bezradni i ledwo żywi, ale spragnieni kontaktu ze światem, który odsuwa się od nich coraz bardziej. Wystarczy czasem potrzymać rękę, która się do nas wyciąga, żeby w biednych oczach zobaczyć błysk jakiegóś radosnej prawie świadomości. Kilka słów zamienionych z

tymi, którzy nie mają z kim rozmawiać, to jest zawsze duży wysiłek z mojej strony, ale ci najbiedniejsi uważają to prawie za łaskę. Popycham prosty wózek z kawą, ciastkami i sokiem, a za mną płynie szmer poruszających się z wysiłkiem bezzębnych warg. Taka sobie żadna praca, ale jednak należąca do obowiązków "bénévole". Przed świętami Bożego Narodzenia przesunięto mnie na oddział onkologii (rakowy). Tutaj rozmawiam z tymi, którzy są skazani, i z tymi którzy z lękiem czekają na badanie decydujące: jak wypadnie? jaki będzie przebieg leczenia? zadają sobie podświadomie pytania: jak długo? Mimowoli zaczynam myśleć o sobie i coraz lepiej rozumiem strach przed tą okropną chorobą i w głębi duszy błagam o cud dla tych skazanych. Podając kawę w poczekalni może skracam im trochę te chwile oczekiwania i może pomagam im nieco zapomnieć na moment o bioterapii, metastazach i operacjach, co dla nich jest przecież tym czarnym chlebem powszednim. Ktoś mi powiedział że to nudne, ale to też "bénévolat".

Oddaję również, oprócz tego, trzy godziny tygodniowo na pracę w sklepiu szpitala. Dochód ze sprzedaży idzie na pomoc dla ludzi chronicznie chorych.

Mój "bénévolat" to poświęcenie mego czasu dla nieznanego mi człowieka, aby znalazł sobie zimowe okrycie i nie marzł, aby pomóc matce w znalezieniu dla jej dziecka zabawki, która nie interesuje już innego, zamożniejszego dziecka, to położenie ręki na czole schorowanej kobiety, aby poczuła chociaż przez chwilę łączność z rzeczywistością, to danie okazji panu X do wypowiedzenia wszystkich swoich strachów przed spotkaniem doktora Y.

Anna Kokińska



Nasz quebecki współpracownik p.Little dostarczył do dzisiejszego numeru poniższy historyczno-socjologiczny zarys dotyczący dawnej Polski. (Red.)

S Z L A C H T A P O L S K O - L I T E W S K A

1 5 6 9 - 1 7 9 5

Ukształtowanie warstwy szlacheckiej w Rzeczypospolitej Obojga Narodów było, w porównaniu do innych krajów europejskich, znacznie bardziej zróżnicowane. Przede wszystkim weźmy proporcję ilościową szlachty w społeczeństwie. Jeśli np. we Francji nie była ona większa niż 2% całej ludności, to w Królestwie Polskim i W.Księstwie Litewskim mieściła się ona w granicach 8 do 10 procent. Drugą cechą szczególną był, jedyny w Europie, system demokracji szlacheckiej. W sensie politycznym wszyscy członkowie stanu szlacheckiego byli teoretycznie sobie równi. Gdy jednak chodzi o sytuację ekonomiczną, występowały tu liczne różnice. Celem tego artykułu jest przeprowadzenie pobieżnej analizy strukturalnej warstwy szlacheckiej w Polsce w okresie przedrozbiorowym. Aby tę analizę uprościć, podzielimy szlachtę na 3 grupy (patrz Davies, 1980), i przestudiujemy każdą z nich szczegółowo; była to magnateria, szlachta zamożna i drobna szlachta.

Magnaci stanowili elitę społeczności szlacheckiej. W tej grupie znajdowano wielkie rody o głośnych nazwiskach, jak Radziwiłłowie na Lit-

wie i Potoccy w Polsce. Dostojnicy państwowi i kościelni, jak i warstwa rządząca: wojewodowie, kasztelanowie, hetmani - wywodzili się przede wszystkim z tych rodzin. Z reguły posiadali oni wielkie własności ziemskie; mogły one obejmować setki czy nawet tysiące wiosek.

Szlachta zamożna, t.zw. posesjonaci, byli to właściciele średnich posiadłości. Ich majątki mogły mieć przeciętnie 20 "łanów" (łan= 16 hektarów); niektórzy mieli po kilkadziesiąt wiosek. W odróżnieniu od magnatów, którymi byli członkowie kilku wielkich rodów, szlachta zamożna stanowiła przeszło 30% ogółu i odgrywała czynną rolę w sejmach.

Gdy chodzi o drobną szlachtę, dzieliła się ona na różne stopnie społeczno-ekonomiczne, wśród których można odróżnić dwie grupy: tych co posiadali ziemię i tych co jej nie mieli.

W tej pierwszej grupie widzimy szlachtę cząstkową, która jak nazwa wskazuje posiadała części wiosek. Dalej była szlachta czynszowa, która dzierżawiła posiadłości od bogatszych właścicieli. Należała tu też szlachta zagrodowa, która w sensie ekonomicznym nie różniła się od chłopów. Uprawiali oni sami swe gospodarstwa, nie mając poddanych którzyby dla nich pracowali.

Jeszcze inną grupę stanowiła szlachta zaściankowa, spotykana często na Podlasiu: te rodziny tworzyły zespoły o tym samym nazwisku, zamieszkujące wsie lub kolonie szlacheckie, założone kiedyś przed przodków, którzy przekazali im swoje nazwisko i herb.

Gdy chodzi o szlachtę nie posiadającą ziemi, to w pierwszym rzędzie wymienić trzeba szlachtę hołotę. Ci ludzie bywali żołnierzami, zarządcami, lub pracowali na roli (będąc jednakże wolnymi od pańszczyzny). Czasem byli służącymi w większych dworach. U dołu drabiny stanu szlacheckiego była szlachta brukowa, ludzie którzy mieszkali w miastach i których szlachectwo pozostało tylko wspomnieniem.

Roch Little



W I E C Z Ó R Z P R O F E S O R E M

J E A N - C H A R L E S G I L L E - M A I S A N I

Przedstawiciele Polonii quebeckiej mieli okazję osobistego zetknięcia się z francuskim uczonym, o którym "Nasze Wiadomości" zamieściły informację w numerze z sierpnia ub.roku.

Dzięki uprzejmej pomocy prof.St.Tarasiewicza zorganizowano to spotkanie w dniu 12 lutego w lokalu C.A.L.C.Q.-u. Jak pamiętamy, profesor Gille jest uczonym o wielostronnych zainteresowaniach. Od fizyki i inżynierii, które obecnie wykłada na Uniwersytecie Laval, poprzez medycynę, psychologię, muzykę, grafologię - aż do szczególnego obiektu jego zainteresowań, którym jest osoba i twórczość Adama Mickiewicza.

Droga do zafascynowania polskim poetą wiodła profesora Gille przez muzykę Chopina a w szczególności przez jego Ballady, które przyjęto uważać za utwory inspirowane przez poezję Mickiewicza. Prof.Gille zapragnął poznać twórczość Mickiewicza w oryginale i przedsięwziął naukę języka polskiego. Po polsku też prowadził przez rok wykłady w Politechnice Śląskiej w Gliwicach. Prelegent niejednokrotnie wspominał tych, którzy pomogli mu w poznaniu języka ojczystego naszego wieszczu; którzy wzbo-

gacili swymi uwagami treść książki i umożliwili dotarcie do materiałów źródłowych. Z czasów swego pobytu w Kanadzie zawdzięczał on wiele prof. Tadeuszowi Poznańskiemu, Piotrowi Radwańskiemu i Zbigniewowi Jarnuszkiewiczowi.

Prof. Gille został oczarowany Mickiewiczem. Uważa go za najwybitniejszego twórcę ery romantyzmu. Mimo tego, że wszechobecność pierwiastka narodowego w jego twórczości powoduje nieraz zniechęcenie obcego czytelnika, u prof. Gille zyskuje ona najwyższe uznanie. Zdaniem jego, francuska poezja romantyczna, ograniczająca się do analizy osobistych stanów duchowych autora, nuży czytelnika swoją monotonią.

Pierwsze kontakty z teatrem w Polsce, przedstawienia "Dziadów", potwierdzają wrażenie prof. Gille o wyjątkowości zjawiska artystycznego jakim jest twórczość Mickiewicza. Dopiero w Polsce zdobywa on przekonanie że rozumie poetę tak, jak rozumieją i odczuwają go Polacy. Wówczas rodzi się postanowienie napisania książki o autorze "Pana Tadeusza", która byłaby analizą psychologiczną poety, opartą na najnowszych badaniach naukowych.

Książka zatytułowana "Adam Mickiewicz - człowiek" ukazuje się w Polsce w 1987r., po 11-tu latach od złożenia jej tekstu. Równocześnie ukazało się wydanie francuskie, bogatsze o rozdziały poświęcone analizie grafologicznej pisma Mickiewicza - i jego bliskich - a także przestudiowaniu rysów twarzy poety na podstawie zachowanych portretów i dagerotypów.

Książka prof. Gille ukazuje indywidualność Mickiewicza, genialnego poety, ale jednocześnie człowieka długo niedojrzałego w sensie osobowości. Odznaczał się on silną pobudliwością uczuciową; miał niewątpliwie konstytucję paranoiczną, przeżywając wciąż uczucie nieprzystosowania, jak też elementy manii prześladowczej, a jednocześnie przekonanie o własnym geniuszu i misji proroczej. Szczególne zainteresowanie słuchaczy wzbudziła interpretacja prelegenta najważniejszych faktów z życia poety: zwlekania, a w końcu rezygnacji z udziału w Powstaniu Listopadowym, a także przyczyn nieszczęśliwego pożycia małżeńskiego z Celiną Szymanowską. Interesowano się także problemem odbioru książki przez niewyrobionego czytelnika, który zwykle żywo reaguje na t.zw. "szarganie świętości", nie rozumiejąc że dzieło w swoim zamyśle nie ma być opisem skandali, ale bardzo głęboką analizą osobowości poety.

Wśród licznych głosów w dyskusji wyróżniły się uwagi pani J. Łagowskiej, psychologa z wykształcenia, sugerujące inną interpretację relacji między poetą i jego matką. Podważone też zostało stwierdzenie prelegenta, że Mickiewicz osiągnął pełnię swojej dojrzałości psychicznej. Ta wymiana opinii na poziomie naukowym spotkała się z przyjazną reakcją prelegenta.

Podczas spotkania mieliśmy możliwość zapoznania się z prywatnymi zbiorami prof. Gille: były tam stare edycje dzieł Mickiewicza, a wśród nich, opublikowane w 1834r. w księgarni Jełowickiego w Paryżu, pierwsze wydanie "Pana Tadeusza". Uczestnicy zebrania mogli też nabyć książki naszego Gościa z jego osobistą dedykacją.

Zegnając się z prof. Gille ofiarowano mu w imieniu Stowarzyszenia Łowicką wycinankę i słodczy domowego wyrobu naszych pań.

Krystyna Frydecka



W I A D O M O Ś C I Z P O L S K I E G O K R Ę G U

Dr. Stanisław Tarasiewicz zaproszony został przez Uniwersytet Laval do objęcia na stałe katedry automatyzacji na wydziale Inżynierii ("Génie Mécanique"), jako profesor nadzwyczajny ("professeur agrégé"). Wykłady jego obejmują cykl I (studenci), II-gi (magisterski) i III-ci (doktorancki).

Prócz pracy pedagogicznej, p. Tarasiewicz współpracuje z szeregiem firm przemysłowych w Kanadzie i w U.S.A.; założył też własne przedsiębiorstwo konsultacyjno-techniczne TARATECH AUTOMATION INC. Życzymy mu wielu sukcesów!

P R Z E W I D Y W A N E S P O T K A N I A

I I M P R E Z Y

Pragniemy zawiadomić Czytelników że w dniach 14 i 15 kwietnia Uniw. Laval oraz CALCQ urządzają t.zw. "Colloque" na temat imigracji w mieście Québec i okolicy. Obrady odbędą się na uniwersytecie w obecności rektora p. Michel Gervais, ministrów pp. Gerry Weiner i Louise Robic, posłów do Parlamentu pani Suzanne Duplessis i pana Tremblay, merów miast Québec, Ste-Foy i innych. Wraz z innymi narodowościami, Polacy są gorąco zaproszeni do udziału w obradach. Oto program:

piątek 14 kwietnia, godz. 19
sobota 15 kwietnia od 9 do 17

otwarcie, cocktail
dyskusje grupowe na następujące tematy:

1. Obraz demograficzno-społeczny imigrantów w Québec i okolicy.
2. Polityka imigracji kanadyjskiej i quebeckiej i jej wpływ na włączenie się imigrantów w społeczność tutejszą.
3. Równouprawnienie dla imigrantów: mit, czy rzeczywistość?
4. Podwójny dobytek kulturalny i problemy oświatowe.
5. Zachowanie swojej przynależności kulturalnej w obcym środowisku.
6. Imigrant i system finansowy oraz kredyt.

Zapraszamy również na:

F E S T I V A L W I E L U K U L T U R

(wstęp bezpłatny)

12 marca, godz. 20	Uniw. Laval, pavillon Casault Salle Henri Gagnon	wieczór włoski "Varietà" (Soc. Dante)
29 marca, godz. 12	CEGEP Limoilou	spektakl dla "Developpement et Paix"
30 marca, godz. 12	CEGEP Limoilou	konferencja prof. Boris Pelosof: "Rewolucja francuska"
31 marca, godz. 19 ³⁰	Uniw. Laval, Pavillon Pollack, Salon des Professeurs	wieczór poezji

NOTATKA OSOBISTA: Z wydaniem tego numeru opuszczam stanowisko redaktora i przekazuję je do dyspozycji Zarządu Stowarzyszenia, który mi je powierzył przed dwoma laty. Powodem tego są inne obowiązki, rzędu rodzinnego, które mnie wzywają obecnie.

Pragnę podziękować wszystkim moim współpracownikom którzy mi pomogli wypełnić strony "Naszych Wiadomości" i nadać pismu kierunek który ufam że odpowiadał większości Czytelników.

Szczególne podziękowanie kieruję do pani Basi Bittner za jej cenną pomoc w stworzeniu i utrzymaniu poziomu graficznego pisma.

Józef Bisping.

Jeszcze oddychamy nastrojem karnawału, dlaczego więc nie sięgnąć myślą w przeszłość i nie zobaczyć jak wyglądał przed 150 laty bal w eleganckim świecie petersburskim. Ten fragment "Eugeniusza Oniegina" w tłumaczeniu Juliana Tuwima opisuje jak spędzał dzień i wieczór młody Puszkin. Oto on: po kolacji z szampanem, po baletowym spektaklu, młody człowiek w stroju wieczorowym podjeżdża saniami pod bramy pałacu:

Wyskoczył z sań, do sieni runął,
Szwajcara minął - i jak ptak
Po marmurowych schodach frunął,
Przygłodził włosy, musnął frak -
I wszedł. Na sali rojno, tłoczno,
Orkiestra tnie melodię skoczną,
Już ledwie zapiąć. Ścisk i szum,
Mazura właśnie tańczy tłum,
Kawalergarda grzmią ostrogi,
Latają nóżki miłych dam
(Ponęta, którą dobrze znam),
A w ślad - płomiennych spojrzeń ogień:
I muzyki rosnący grom
Zagłusza szept zazdrosnych żon.

Szalałem niegdyś za balami,
Za dni wesołych, szumnych dni...
Tam list najpewniej wręczyć damie
I wyznać, o czym serce śni.
O wy, czcigodni małżonkowie,
Słuchajcie, co wam znawca powie,
Nie lekceważcie moich rad.
I wam, mamusie, służę rad
Przestroga, co się przydać może:
Trzymajcie prosto swe lorgnon.
Na córkę baczcie! Bo się z nią...
Wolę nie mówić... nie daj Boże!
A piszę o tym, bo już sam
Nie grzeszę więcej. Dosyć mam.

Kajam się, że na bale, biby
Straciłem dużo w życiu sił,
I dziś bym chętnie tracił, gdybym
Mniej czuły na moralność był.
Uwielbiam młodość szalejącą
I tłok, i blask, i radość wrącą,
I przemyślane stroje dam,
I nóżki ich... Lecz tutaj - kram:
Wątpię, czy znajdę w Rosji całej
Choć ze trzy pary zgrabnych nóg...
Ach, ile dotąd wspomnień, trwóg
Dwie nóżki budzą... Osowiały,
Wciąż je pamiętam... I we śnie
Do dzisiaj niepokoją mnie.

Szaleńcze, kiedy, gdzie na świecie
Rozstaniesz się z tęsknotą swą?
Ach, nóżki, nóżki! Jakże kwiecie
Leciutkie wasze stopy mna?
Bez śladu przeszłyście po śnieżnych
Równinach smutnych pól bezbrzeżnych -
Wy, które wypiaستował Wschód,
Małeńkie nóżki, których chód
Rozkosznie pieścił dywan miękki!
Gdym o was śnił, w niepamięć szły
O sławie upragnionej sny,
Ojczyzna i wygnania męki.
Minęło szczęście dawnych lat,
Jak wasz na łakach lekki ślad.

Ponętne są jagody Flory,
Diany pierś rozkoszą tchnie,
A jednak nóżka Terpsychory
Pokusą większą wabi mnie.
Wzrokowi wróżąc dar nad dary,
Swawolne budzi w nas zamiary
Urokiem swych umownych kras:
Gdy złoci ją kominka blask
W zimową noc, Elwino luba!
W dąbrowie, porośniętej mchem,
Przy stole, gdy przed okiem mem
Zakrywa ją serweta długa,
Na balu, na posadzce sal,
Na skałach, przy muzyce fal.

Nad morzem, pomnę, fal czeredy
Mitośnie lgnęły do jej nóg.
O, jak im zazdrościłem wtedy,
Wysłuchany w bliskiej burzy huk.
O, gdyby przypaść wraz z falami
I dotknąć miłych nóg ustami!
Nie, nigdy za kipiących dni
Młodości mej i ognia w krwi -
Nie pożądałem, tak dręczony,
Armidy młodej świeżych warg
Ni piersi, pełnej słodkich skarg,
Ni róży lic rozplamionych,
Nie, żadnej namiętności wichr
Nie targał silniej zmysłów mych.

... Wspomnienie nowe przed oczyma:

.....